

Dwunastu gniewnych ludzi na fejsie

17 lutego 2020

Bob był pracownikiem jednego z brytyjskich uniwersytetów. Pewnego razu zmienił się zarząd i ogłoszono, że teraz będą wdrażane bardzo potrzebne, projakościowe reformy, „w najlepszym interesie Uniwersytetu i całej społeczności lokalnej”. Zapewniono, że „bolesne zmiany kulturowe”, jakie będą miały miejsce, są niezbędnym „sprawdzeniem naszej determinacji, by stać się naprawdę wyróżniającym się uniwersytetem światowej klasy”. Pierwszą zmianą w miejscu pracy Boba były elektroniczne bramki. Blokowały one dostęp pozostałym pracownikom do pomieszczeń, w których pracowali administratorzy. Bob dowiedział się, że można wejść na teren administracji, jeśli umówi się w konkretnej sprawie e-mailem, ale, generalnie, wszelkie sprawy administracyjne należy od teraz starać się załatwiać on-line. Miało to być ogromne uproszczenie, odbiurokratyzowanie, unowocześnienie i znaczący krok w kierunku efektywności pracy.

Pierwszym efektem było to, że Bob nie mógł już wpaść na pogawędkę do zaprzyjaźnionej doświadczonej administratorki, Bethany. Drugim było wypowiedzenie, które wpłynęło do kadr od Bethany, o czym dowiedział się od wspólnej znajomej. Spotkał się z Bethany w kawiarni, wręczył jej kwiaty, powiedział, że chce podziękować za tyle lat dobrej wspólnej pracy. Bethany wzruszyła się, powiedziała mu, że cieszy się, iż ktoś o tym pamięta. Opowiedziała mu, jak administratorzy zostali przeniesieni do wielkiej wspólnej hali, odcięci od kontaktu z pozostałymi pracownikami, zmuszeni do rejestrowania obecności i nawet wyskoczenie na kawę do pracowego bufetu było odhaczane i rejestrowane centralnie. „Ta praca była kiedyś moim domem”, powiedziała Bethany, ocierając łezkę z policzka, „a stała się elektronicznym więzieniem”.

Dla Boba wkrótce stało się jasne, że na tym właśnie polega wprowadzana reforma. Coraz więcej czasu poświęcał na wklepywanie różnych danych do tabelek według wyznaczonych twardych reguł. Pojęcia, które doskonale znał i kojarzył, bo pracował z nimi przez całe życie, takie jak ocena prac studenckich, rozliczenie projektu badawczego, przygotowanie programu zajęć – teraz zmieniły się nie do poznania, przybierając kształt zamkniętych, opisanych urzędowym językiem kategorii. Także oceny studentów musiał teraz wklepywać online, według takich samych schematów. Nie mógł dodać od siebie rad ani spostrzeżeń odbiegających od rygorystycznych kategorii. Studenci wysyłali do niego e-mailem anonimowe zapytania; często nie kojarzył nadawców osobiście ani oni jego. Domagali się właściwego „obsłużenia” – i tyle. Oczekiwali, że odpowie natychmiast, w dzień czy w nocy.

Jego kontakt z pracownikami administracji stał się równie anonimowy. Dostawał e-maile domagające się urzędowym, suchym językiem określonych działań w określonym terminie. Gdy sam wysyłał e-mail w jakiejś administracyjnej sprawie, takiej jak prośba o radę w sprawie o zwrot kosztów konferencji czy zapytanie o warunki zatrudnienia doktoranta, jego korespondencja szła na „pool”, czyli odbierała ją osoba, która akurat w systemie pojawiała się, jako „wolna”. Za każdym razem musiał od początku tłumaczyć swoje sprawy. Nikt nie wykazywał już żadnego współczucia, nie przejawiał żadnej ludzkiej reakcji. Cała korespondencja odbywała się w formalnym sztywnym języku. Wielokrotnie mówiono mu, jak ważne jest to, by nie wykraczać poza te ramy – wszystkie komunikacje e-mailowe są dostępne dla odpowiednich instytucji uczelni. W przypadku zaskarżenia przez studenta np. o dyskryminację wszystko, cokolwiek pracownik napisał w swoim e-mailu, poddawane jest szczegółowemu śledztwu, a fragmenty przekazywane dalej do odpowiednich organów. Wszystkie e-maile, te do i od studentów, te do i od administratorów, do i od zarządzających, są adresowane imiennie. „Hi, Bob!”, pisze student, „czy sprawdziłeś już moją pracę?”. „Hi Bob!”, pisze dział kadr

(HR), „wczoraj minął deadline drugiej tury anonimowego sprawdzania pracy. Przypominamy, jak ważne jest terminowe rozliczenie zaliczeń. Nie możemy dopuścić do tego, by studenci byli niezadowoleni. Prosimy o raportowanie jakichkolwiek problemów w trakcie postępu prac. Wyślij mi draft feedbacku, jaki wysyłasz studentom. Załączam proformę”. „Hi Bob!”, pisze Bill, dyrektor kadr, „w związku z brakiem obciążenia w twoim planie w lecie proponujemy, byś przeszedł na wcześniejszą emeryturę w maju”. Bob poszedł do związków zawodowych. Odszedł z pracy po swoim ostatnim urlopie, we wrześniu. Udział pracowników administracji w całkowitym zatrudnieniu uczelni Boba wynosi obecnie 67%.

Bethany i Bob, mniej lub bardziej dobrowolnie, odeszli z pracy, w której byli dobrzy i która była dla nich ważna. Jednak oboje wiedzieli, że nie musi tak być, bo pamiętali inne czasy i inne zasady. Wiele osób przyjmuje „elektroniczne więzienie” jako coś oczywistego, jedynie możliwego. Boguwłóść pracuje w takim miejscu i nie widzi w tym nic dziwnego. Nie jest może szczęśliwa, ale daje radę. Nawet całkiem nieźle, gdyby nie ciągłe awarie a to nadgarstka, a to kręgosłupa, a to powracająca depresja. W wolnych chwilach Boguwłóść jest mścicielką internetu. Twitter i Facebook to pola bitew, które nieustannie stacza z zacofaniem i miernotą. Atakuje, komentuje, zawstydza, szturmuje. Pod jej trafnymi komciami padają co dzień bastylie faszyzmu i ciemnoty. Byłaby rycerzem niezłomnym, gdyby nie to, że to określenie ma męskie końcówki, z którymi walczy i dotyczy czasów ciemnych, irracjonalnie romantycznych, nienaukowo bezrozumnych, którymi pogardza. W każdym jej spostowanym zdaniu jest precyzja i klarowność, rzucająca na kolana tłumy tępaków i idiotów. Wieczorami, przy drinku, Boguwłóść szarżuje memami, spokojnie i rozważnie decyduje, kto jest spoko, a kto nie.

Gdy zmarł znany człowiek, przyłączyła się do komciów odsądzaających go od czci, że opresyjny potwór, że ona jest jedną z jego ofiar. Nie była, w ogóle w życiu go nie spotkała.

To był akurat pocziwy człowiek, przeżył życie nie powodując ofiar. Związany był jednak z instytucją, która w świecie Bogułości jest bastionem zła i zacofania. To był człowiek, który miał w sobie czułość, której – to prawda – nie miało tak wielu ważnych ludzi z tej instytucji. Mówił jej językiem, ale mówił też często przeciwko niej. Wreszcie, był człowiekiem, był śmiertelny, właśnie umarł i różne ludzkie kultury nakazują godne pożegnanie zmarłego przynajmniej w tej jednej chwili. To rytuały refleksji i szacunku, osadzone bardzo głęboko w naszej świadomości. Antygona ginie, bo musi pochować zmarłego brata Polyneikesa: nie dlatego, że go podziwia, nie dlatego nawet, że był jej bratem – dlatego, że zmarłego pochować trzeba. To jest moment pokory i świadomości naszych granic, a także tradycyjny wzajemny obowiązek wobec siebie uczestników ludzkich społeczności. Nasza śmiertelność sprawia, że pojmujemy, iż jesteśmy w gruncie rzeczy równi sobie w obliczu śmierci. Wszyscy jesteśmy siostrami i braćmi, jak Polyneikes i jak Antygona, bo jesteśmy ludźmi, jesteśmy śmiertelni. W świecie Bogułości nie ma jednak miejsca na rytuały refleksji. W nim śmiertelność istnieje wyłącznie jako wyrok – wielki, symboliczny, sprawiedliwy, jako coś, co jest karą, co się wymierza.

Bogułość walczy z pewnym znanym reżyserem. Głosi, że jest potworem. Że powinien zostać ukarany śmiercią. I że tak powinien uważać każdy, bo to, co zrobił, jest straszne i było przestępstwem już wtedy, gdy to zrobił, a więc żadne pitolenie o kontekście (to znienawidzone słówko używane przez romantycznych oszołomów!) nie powinno w ogóle mieć miejsca. Jaki tam czas? Jakie warunki? Wszystko nieważne, ważna sprawiedliwość. Faktycznie reżyser zrobił coś strasznego, ale jednak Facebook nie jest sądem, zwłaszcza ostatecznym, a kontekst pozostaje kontekstem. Jeden z ulubionych bohaterów Bogułości też został skazany prawomocnym wyrokiem za coś, co było w jego czasie przestępstwem. Akurat w tym przypadku było to podłe prawo. Jednak człowiek ów w kategoriach imaginarium moralnego, z którym identyfikuje się Bogułość, też nie był

aniołkiem. Dziś wiemy, że nie zasłużył sobie na karę, jaką poniósł. Wiemy też, że jeszcze potworniejszy, niż ten wyrok, ten sąd, ta kara, był wtedy tłum świętych i oburzonych wiktoriańskich moralistek i moralistów. Ich obrzydzenie, ich determinacja, ich święty płomień w oczach, które zniszczyły życie tego dobrego człowieka, jego żony i jego dzieci. On wyszedł z więzienia i nie napisał już nic z tego, co mógłby, umarł młodo i w biedzie. Rodzina biedowała na emigracji, żona marniała z rozpacz, w końcu też przedwcześnie umarła; musieli zmienić nazwisko, bo świat nie dawał im spokoju. Świat wiedział, co jest dobre, a co złe. Świat sądził i wyrażał swoje sądy głośno. Miał moc, i to niezależnie od prawa i sądów, choć, w tym przypadku, zgodnie z nimi. Nie miał tylko jednej rzeczy do pełni doskonałości – internetu. A dziś ma.

W swojej najnowszej książce „The twittering machine” (komu ten tytuł kojarzy się z przejmującym obrazem Paula Klee z 1922 roku, ten ma całkowitą rację, to skojarzenie zamierzone) socjolog i dziennikarz Richard Seymour opisuje dramatyczny stan współczesnej kultury, wyjałowiony z wartości społecznych i uczuć wyższych przez masowe używanie tzw. mediów społecznościowych w późnokapitalistycznym kontekście. Ten kontekst sprawia, że stały się one platformą sfragmentaryzowanej komunikacji społecznej, kształtowanej na obraz i podobieństwo idealnie wolnego rynku, zdominowanej przez konkurencję, a jednocześnie będącą platformą bardzo uzależniającą, wzmacniającą narcyzm, uprawomocniającą komunikacyjną przemoc bez żadnych konsekwencji. Autor przytacza znaną trollowską maksymę: none of us is as cruel as all of us; nikt z nas nie jest taki okrutny, jak wszyscy z nas. Na internetowych formach i platformach, zwłaszcza pod osłoną anonimowości, ludzie są w stanie pokonać w sobie opory, które chronią przed traktowaniem innych okrutnie, a wspólne działanie wyzwala potężne moce. Seymour ostrzega przed interakcją z internetowymi trollami, ale ostrzega także przed moralizowaniem – to części tej samej spirali. W książce opisuje przykłady ludzkich tragedii: samobójstw, załamień,

życiowych porażek, które spotkały osoby będące obiektem ataku internetowych trolli i moralistów.

Media społecznościowe dają poczucie mocy i sprawczości, a także poczucie moralnej wyższości. W efekcie stają się nieraz czymś w rodzaju linczującego tłumu, bez żadnych zahamowań, nawet fizycznych odruchów oporu czy choćby odrazy, które niejedną osobę powstrzymują od uczestniczenia w takich działaniach w materialnym świecie. Dynamika wymyka się bardzo szybko spod kontroli nawet w cywilizowanych poniekąd kręgach, między osobami dobrej woli i dobrych manier. Medium internetowej komunikacji w swojej kapitalistycznej krasie powoduje, że rozkręca się wymiana, której nikt z uczestników nie zamierzał rozpętać. Sama w czymś takim uczestniczyłam kilka dni temu – bardzo niemiła rozmowa na jednej z facebookowych stron rozszalała się z powodu zwykłego nieporozumienia. Jedna osoba myślała, że pisze jedno, a druga, że napisane jest coś zupełnie innego. Kwestia mogła rzeczywiście być czytana na te dwa sposoby. Każda ze stron miała na uwadze kontekst dla niej oczywisty. Tylko dobra wola obu stron i rozmowy poza forum sprawiły, że nieporozumienie dało się wyjaśnić. Nieprecyzyjne sformułowanie zostało przeredagowane na forum, a dynamika antypatii zatrzymana.

Jednak stało się tak za sprawą osób, które znały się fizycznie, poza internetem. Seymour opisuje przypadki bez takiego happy endu. Poleganie na komunikacji w sieci prowadzi prostą drogą do nihilizmu: „platformy wydestylowały ideę przewagi w doskonale abstrakcyjną metrykę uwagi i uznania”. Jest to efekt kombinacji kapitalizmu i jakiejś właściwości internetowych mediów. Ale jakiej? Skąd ona się wzięła?

Myślę, że wzięła się stąd, iż coś znacznie wcześniej z ludzkością poszło źle. Zaczęło się już dawno temu, przybierając postaci różnych dualizmów, takich jak manicheizm i pewne nurty chrześcijaństwa, zaprzeczające, jakoby cokolwiek dobrego mogło wiązać się z materią. Nabrało rozpędu w epoce Oświecenia, gdy człowiek stwierdził, że rozum istnieje

niezależnie od ciała, jest wyższy i szlachetniejszy od niego i wszystkiego, co zeń pochodzi, czyli od ograniczeń, słabości, emocji. To, co pochodzi od rozumu, zostało uhonorowane jako wiedza, a to, co pochodzi od ciała zostało zdegradowane do pozycji nieracjonalności i niewiedzy. Zaczęto wierzyć, że rozum powinien zostać oderwany od świata odczuwania, że reakcje pochodzące z ciała są pośledniejsze, że są zakłóceniami czystego, prawdziwego myślenia. Wreszcie przyszła epoka internetu i postawiła sto kropek nad i. Ludzie ostatecznie uznali, że możliwe jest oderwanie się od materialnego świata i zachowują się tak, jakby stało się to faktem. Jednocześnie w szlachetnej sferze nauki, w tak zwanych poważnych mediach i odpowiedzialnej polityce, umacnia się redukcjonistyczny model w pełni racjonalnego rozumu. Wszystko, co jest poza nim, jest zabobonem, pseudonauką, populizmem.

A jednak ten „nieracjonalny” świat istnieje i przypomina o sobie. Boguwość ciągle leczy się na jakieś problemy z kręgosłupem i nadgarstkiem, jej ciągły smutek jednak jest emocją, jakkolwiek naukowo by tego nie nazywała. Klimat się zmienia: płoną lasy, szaleją powodzie, wichury, ciągły nowoczesny postęp nie daje ludziom szczęścia, a planecie warunków do życia. Mamy racjonalną odpowiedź na wszystko, ale zgubiliśmy poczucie sensu. Wreszcie, żebyśmy nie wiem jak ględzili, że supermoce internetu, że algorytmy przyszłości, to świadomość poza ciałem na tej planecie nie istnieje. Wszyscy rodzimy się, jemy, śpimy, pracujemy. Wszyscy kiedyś umieramy. Jesteśmy ludźmi, nie rozumami wywalonymi w stratosferę. Wie o tym Bratomiła, która bardzo lubi internet i udziela się chętnie na facebooku (choć wykasowała jakiś czas temu konto na twitterze). Podobnie jak wiele organizacji alternatywnych, które badam, działających na granicach kapitalizmu lub poza nimi, Bratomiła stosuje zasadę sofy – nie pozwala, by ktokolwiek zachowywał się w jej facebookowej przestrzeni tak, jak nie zgodziłaby się pozwolić zachować gościowi siedzącemu na sofie u niej w domu. Ona też zachowuje się w taki sposób. A więc przede wszystkim nie zaprasza anonimów. Czasami zaprasza

osoby, z którymi nie spotkała się w świecie fizycznym – wówczas, gdy ma nadzieję, że w ten sposób nawiąże kontakt i spotka się w niezbyt odległej przyszłości. Gdy to się nie udaje (a dzieje się tak dość często), Bratomiła kasuje taki kontakt. Natychmiast wyłącza się z wątków, które zaczynają mieć charakter trollingu. Po pocieszeniu dzwoni do przyjaciółki, podobnie wtedy, gdy zależy jej, by ktoś ją pochwalił – nie próbuje uzyskać tego przez publiczny post chwały na facebooku. Facebook jest dla niej narzędziem komunikacji, plotkowiskiem, troszkę taką meta-gazetą, podpowiedzią, co gdzie przeczytać, co nowego, co modnego. Mój teren badawczy, organizacje alternatywne, ponadto korzystają zeń często jak z dobrego – bo darmowego – medium reklamy i informacji. Jedna z nich, szczególnie zaawansowana technologicznie, posiada własne niekapitalistyczne platformy i programy, a jednak korzysta z nich wyłącznie w sposób instrumentalny, do wykonania określonych zadań. Wtedy, gdy trzeba się naradzić, porozmawiać, spółdzielcy spotykają się przy stole, w fizycznej przestrzeni. Uważają to za jedną z fundamentalnych zasad, choć nie zawsze jest im z nią wygodnie, a sprawność podejmowania decyzji mocno cierpi.

W swojej najnowszej książce, „Revolutionary love”, aktywista, filozof i rabin Michael Lerner, pisze, że aby zaradzić kryzysom i zapobiec zbliżającym się miłowymi susami katastrofom, ludzie powinni zrobić wszystko co mogą, by pielęgnować nasze człowieczeństwo, jego najczulszą stronę. Powinniśmy patrzeć sobie w oczy więcej, niż patrzymy na komcie w internecie. Lerner mówi o zagrożeniu, jakie dla człowieczeństwa niesie błędne redukcjonistyczne materialistyczne przekonanie, które stało się aksjomatem w cywilizacji kapitalizmu, a przybrało postać kultu w jego obecnej, neoliberalnej fazie. Nawiązuje do budowania socjalizmu opartego na życzliwości i empatii. Media społecznościowe, twierdzi Lerner, same w sobie nie są złe, ale używane tak jak obecnie stały się częścią dynamiki okrucieństwa i przemocy, które ukryte są w opakowaniu racjonalnej komunikacji. Lerner

uważa, że wielu tych reakcji by nie było, gdybyśmy stanęli fizycznie w jednym pomieszczeniu. Owszem, istnieją ludzie agresywni i wrodzy, ale nie wszyscy tacy jesteśmy. Bardzo potrzebne są nam rytuały refleksji, przywołujące świadomość wspólnego człowieczeństwa i wspólnych granic ludzkiego losu – dzięki nim okrucieństwo trzymane jest przez społeczności w ryzach braterstwa i siostrzeństwa.

Lerner jest zdania, że wiele zła, które emanuje z współczesnej kultury, wynika z samotności, izolacji, oddzielenia, wyobcowania. Do tego, by uzdrowić ludzkość z kultury strachu i przemocy konieczny jest kontakt twarzą w twarz, konieczne jest uznanie, że nasze uczucia, emocje są równie ważne i mądre, jak nasz rozum. To one od dawna mówią, krzyczą, ogłaszają prawdę: że lepiej jest pod drzewem nad jeziorem niż w zasmogowanym mieście pełnym błyszczących wieżowców. Że dobrze, ach jak dobrze, być pogłaskanym po ramieniu przez przyjaciela, kiedy jest nam smutno. Że e-mail od HR powoduje uczucie, jakby coś walnęło nas w mostek i uchodzi z płuc powietrze, gdy go otwieramy. Że moment, w którym zaczyna się internetowy lincz za coś, co napisaliśmy, wywołuje szaleństwo pulsu, pocenie się dłoni, mrowienie w okolicach żołądka. Że nos wbity w książkę daje coś w rodzaju rauszu, czego nie daje czoło w ekranie. Że po dziesięciu godzinach pracy zmęczenie jest jak grypa, nie ma miejsca nic, ukojenie daje tylko porządny, pachnący obiad. Nie wypowiedź mądrego pana o tym, że trzeba pracować, to osiągnięcie sukcesu. Wreszcie, to one mówią nam, że nigdy nie poszlibyśmy do kina, ba, nie odpalilibyśmy na netfliksie czy jutubie, filmu „Dwunastu gniewnych ludzi na fejsie”.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl